№ 16. Warszawa, dnia 4 (16) Kwietnia 1887 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

KRWAWY DYABEŁ.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

z czasów Zygmunta III.

PRZEZ

L. S. W.

I.

Powrót pana starosty łańcuckiego.

Na wiosnę 1591 r. liczny hufiec jezdnych dążył traktem węgierskim od Przemyśla ku Łańcutowi. Jazda to była lekka, zbrojna w lance z proporczykami i pałasze, odziana w kurtki skórzane lub łosiowe. Niektórzy tylko mieli na kurtkach lśniące stalowe pancerze lub cienkie koszulki druciane; głowy rycerzy pokryte były kołpakami formy Batorowskiej, z mniej lub więcej ozdobnemi kitami piór strusich lub kogucich, rzadziej z kitą czaplą, która była najkosztowniejsza, gdyż dla utworzenia jednej takiej kity z piór, których po dwa tylko każda czapla ma na głowie, potrzeba było złowić kilkadziesiąt tych rzadkich i trwożliwych ptaków.

Była też przy oddziale pewna ilość pachołków i luzaków, którzy wiedli konie luźne lub objuczone bagażami: widocznie rycerze wracali z dalekiej drogi.

Na czele hufca, na pięknych siwych rumakach jechało trzech panów postawy butnej i okazałej, strojnie przybranych. Najwyższy z nich i widocznie najstarszy, był to mąż w sile wieku, lat może niespełna czterdziestu, o twarzy kościstej i surowej, ozdobionej długim wąsem, z podgoloną obyczajem tatarskim czupryną, o oczach niepomiernie dużych, siwych, które rzucały na wszystkie strony bystre i przenikliwe spojrzenia. Ubrany był w żupan z adamaszku karmazynowego, długi do kolan i takiegoż koloru delią aksamitną, podbitą rysiami, z guzikami i sznurami złotemi, niedbale na ramiona zarzuconą. Buty miał długie, czerwone, kurdybanowe z czarno szmelcowanemi ostrogami, a głowę przykrywała mu czapka okrągła, huzarską lub węgierską zwana, z czarnego aksamitu bez piór, tylko w kwiaty złote i srebrne haftowana. W lewej ręce trzymał cugle, a w prawej krótki obuszek, rodzaj buławy stalowej, złotem nabijanej, roboty włoskiej, a może perskiej lub tureckiej. Szabla batorówka z rękojeścią krzyżową, oprawna w jaszczur srebrem okuty, zwieszała się na karmazynowy turecki czaprak, w desenie wschodnie złotem wyszywany. Z obu stron groźnego tego męża jechali dwaj inni, młodsi i nie tak okazałej postawy: jeden, mężczyzna może trzydziestoletni, śniady brunet, raczej brzydki niż przystojny, nosił czarną bródkę, przystrzyżoną z węgierska, według mody przez króla Stefana wprowadzonej. Ubrany był w kaftan łosiowy, zwany stradyotką, przez szlachetniejszych rycerzy wtedy używany, a na nim miał długą ferezyą sukienną, koloru fioletowego, bez żadnych ozdób, podbitą lekkiem futrem, zwanem marmurkami, na głowie miał kołpak kształtu kozackiego, fioletowy aksamitny z żółtym wierzchem. Nakoniec drugi towarzysz dowódzcy, który jechał przy lewym jego boku, był to młodzieniec w pierwszej może wiośnie życia, lat niespełna dwudziestu, z długiemi na ramiona w wijących się kędziorach spływającemi włosami, piękny i rumiany jak panienka, o wesołych oczach szafirowych, i regularnych rysach twarzy. Drobny wąsik zaledwie mu się wysypywał, ale gruba szyja, potężne plecy, ramiona i piersi i żylasta dłoń, znamionowały niezwykle wybujały rozwój i niepospolitą siłę, zapowiadając, że w przyszłości z tego ładnego chłopięcia będzie silny bohater, rycerz olbrzymiej potęgi.

Że i teraz młodzieniec nie pędził snać życia w gnuśności, lecz zawczasu zaprawiał się do trudów bojowych, świadczyła o tem srebrzysta koszul-

ka druciana, którą nosił na skórzanej swej kurtce, wtedy karwatką zwanej, u boku długi pałasz pancernych, a na głowie błyszcząca pozłacana misiurka, piórami strusiemi zdobna.

Trzej ci panowie byli to Stanisław Stadnicki, starosta łańcucki, brat jego stryjeczny także Stanisław z Ozemli i synowiec Samuel. Jechali w milczeniu, dodając koniom ostrogi, w czem naśladował ich cały orszak. Kres podróży nie musiał być daleki i istotnie, słońce marcowe jeszcze nie było zaszło, gdy na równinie, pomiędzy porosłemi lasem pagórkami, ukazały się zdala szare mury zamku w Łańcucie. Zamek to był mocny i obronny, gdyż Tatarzy plądrowali często te okolice i trzeba było ciągle mieć się na baczności przeciwko zagonom dzikiej tej hordy, a i domowe walki formalne nawet wojny bratobójcze pomiędzy magnatami i szlachtą już wtedy w Polsce nie były rzadkością. Niebardzo więc dbano o architekturę, która doprawdy była niewiedzieć jaką, a raczej niemożna jej było odnieść do żadnego ze znanych stylów; przysadzisty mur niesłychanej grubości i dość wysoki, ze strzelnicami, zakrywał budowę w znacznej połowie tak że nie widać było nawet żadnego okna; ponad murem wznosiły się tylko dwie potężne czworokątne zębate baszty na rogach i cztery mniejsze okrągłe wieżyczki, pomiędzy większemi na krzyż umieszczone.

Dachy, pokryte dachówką polerowaną, świeciły się z daleka, a nad potężną bramą wisiał podniesiony most zwodzony, bez którego niepodobna było przebyć głębokiej, napełnionej wodą fosy i dostać się do zamku.

Nie potrzebowali jednak nasi rycerze trąbić ani dawać znać o sobie, przybywszy nad brzeg fosy, gdyż z zamku zapewne już dojrzano oczekiwanych gości, a raczej wracającego gospodarza z orszakiem. Na jednej ze środkowych wieżyczek powiewała już radośnie flaga herbowa, a most spadł ze szczękiem i zgrzytem, gdy orszak znajdował się jeszcze o paręset kroków od fosy. Butnie i hałaśliwie, lecz w milczeniu wjechali jezdni na podwórze, witani nizkim ukłonem przez burgrabiego Cieleckiego, krępego i przysadzistego szlachcica, z siwemi już wąsami i o siwiejącej czuprynie, ubranego w ciemną opończę i szeroki pas jedwabny.

Stadniccy zsiedli z koni u głównego wejścia na prawo i po krętych a ciemnych schodach weszli na pierwsze piętro. Tu z obszernej i nagiej sieni, w której było kilku hajduków, pan Stanisław z krewnymi zwrócił się na lewo, do dużej sali, której podłużne okna, o drobnych szybkach w ołów oprawnych, wychodziły na część fosy i przytykający do niej z tej strony ogród zamkowy, nędzny i licho utrzymywany.

Zmrok już zapadał i w sali było prawie ciemno; to też wnet po wejściu panów, jeden z hajduków wniósł cztery zapalone świece woskowe w ciężkich srebrnych lichtarzach, a drugi w milczeniu przyniósł duży dzban srebrny, miodem napełniony i kilka pozłacanych kubków na tacy. Postawili to wszystko na dużym, okrągłym stole dębowym, który stał po środku sali, a sami cofnęli się do sieni. Około stołu stało kilkanaście krzeseł również dębowych, twardych z wysokiemi poręczami. Innych mebli w sali nie było. Na ścianach między oknami wisiało kilka portretów familijnych, a niezbyt wielka biegłość malarzy, którzy je robili, była zapewne powodem, że wizerunki te w stal zakutych i szkarłatnemi deliami pokrytych rycerzy, niewątpliwie w rzeczywistości poważnych i surowych, wyglądały dziko, niemal przerażająco, dwa zaś czy trzy portrety niewiast w ubiorach wdowich, zbliżonych do stroju zakonic, miały pozór bladych widm lub urojonych upiorów.

Pan domu widocznie mało dbał o ozdoby zewnętrzne. Za to na obu ścianach bocznych rozwieszony był zbiór broni, na jednej stronie broń sieczna, na drugiej palna. Były tu więc i długie ciężkie miecze rycerzy średniowiecznych i szable tureckie zakrzywione, o bogato zdobnych rękojeściach i pałasze ze słynnej fabryki hiszpańskiej w Toledo i szable „damascenki", wyrobione w Damaszku z najprzedniejszej stali, tak że można je było zgiąć w obręcz, poczem wyprostowywały się same; były handziary i jatagany czyli puginały tureckie i tatarskie i cieniutkie jak szydła, a ostre jak igły sztylety włoskie, były miecze krzyżackie i szable polskie „zygmuntówki" i „batorówki" niedługie i umiarkowanie zakrzywione, w bogatych pochwach jaszczurowych. Można też było tu widzieć kilka olbrzymich kopii husarskich i koncerze czyli młoty, używane przez jazdę pancerną do rozbijania zbroi nieprzyjaciół.

Na drugiej ścianie wisiały ogromne strzelby z lontami, wtedy jeszcze używane i ciężkie arkebuzy i falkonety żelazne, których przy strzelaniu, niepodobna było utrzymać w ręku, lecz ustawiano na odpowiednich kozłach drewnianych. Były też garłacze, broń pośrednia między strzelbą a armatą, nie brakło łuków i kołczanów, wtedy jeszcze przez Polaków używanych; było i kusz kilka, łuków o długich rękojeściach, z zamkami i sprężynami, które uchodziły dawniej za broń tak morderczą, że papieże i synody duchowne zakazywały nieraz ich używania. Wisiało też kilka buzdyganów i buław niewielkich, które były wówczas oznaką dowódzców; również kilka obuszków i maczug, niektóre nabijane małemi, lecz ostremi gwoździami. Zapewne jako osobliwość, zawieszono tu także olbrzymi cep, ale nabijany ostremi gwoździami żelaznemi, była to broń straszliwa, używana przez pospólstwo w Czechach w czasie bratobójczych walk religijnych, zwanych husyckiemi.

Nakoniec w dwóch kątach sali stały dwie zupełne zbroje rycerskie: na prawo dawniejsza zbroja pancerna, składająca się z grubej kolczugi czyli siatkowego pancerza żelaznego, hełmu z ruchomą przyłbicą i okrągłej tarczy; na lewo widzieć można było uzbrojenie „skrzydlatego husarza", lekki a świetnie polerowany pancerz z parą skrzydeł stalowych o piórach strusich, misiurkę z kitą i skórę lamparcią.

Panowie Stadniccy, wszedłszy do tej ponuro wyglądającej, a zimnej i mrocznej sali, rzucili oręże, zwierzchnie szaty i okrycia głowy do kąta, a sami usiedli przy stole. Niebawem otworzył się drzwi raz jeszcze i weszło dwóch ludzi: hajduk postawił na stole pięknie wytłaczaną misę srebrną, napełnioną piernikami i marcepanami toruńskiemi i krakowskiemi, a stary burgrabia Cielecki, który wszedł z nim razem, zatrzymał się u drzwi i czekał w postawie pokornej.

Zadziwią się może czytelnicy tej ciszy i milczeniu, z jakiemi witano pana i jego krewnych; dziwnem może wydać się także, iż nikt z rodziny nie wyszedł na spotkanie starosty, wracającego do domu po długiej, bo blizko czteroletniej nieobecności, ale podziw ich zniknie może, gdy powiem, że starosta był to pan srogi i okrutny, przed którym wszyscy drżeli, nie oglądający się na nikogo i na nic w swej samowoli, straszny w gniewie i nieubłagany w zemście.

Już wtedy pocichu przezywano go „dyabłem" i z tym wstrętnym przydomkiem jego imię i pamięć przeszły do potomności.

Pan starosta miał żonę i syna, ale [illegible] widocznie powitać go nieprzywołani.

Gospodarz nalewał sam miodu swym krewnym i wszyscy czas jakiś popijali w milczeniu przygryzając piernikami.

— I cóż tam, Cielecki? — odezwał się wreszcie starosta, a głos jego niezbyt gruby, posiadał dziwną jakąś donośność i metalowe brzmienie dobrze ulanego dzwonu, który brzmi jeszcze chwil kilka w uszach swym oddźwiękiem.

— Jejmość pani starościna — odpowiedział z ukłonem burgrabia, wita przeze mnie, jako pokorna służebnica, wielmożnego pana starostę, swego małżonka i władcę i zapytuje, czy wolno jej, wraz z synaczkiem, pokłonić się do kolan jegomości.

Na tę widocznie wyuczoną i stylem ówczesnej uniżonej grzeczności ułożoną krótką przemowę, pan starosta niezaraz odpowiedział, jak gdyby potrzebował namysłu.

— Niech jejmość — rzekł wreszcie — każe dawać wieczerzę i powita nas przy stole.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Pamięci zgasłego.

Tyś rzekł nam Mistrzu, że: „Śmierć w naturze,
Rzuca żywota nasienie"... (*)
Dziś może duch Twój widzi tam w górze,
Słów tych przedziwne ziszczenie.

Oh! bo ostatnie dziś tchnienie Twoje,
Nie końca pojęcie budzi...
Mogiłę kwiatów uwieńczą zwoje,
Pamięć, żyć będzie wśród ludzi.

A pamięć taka, takie wspomnienia,
To pomnik który trwa wiecznie...
Bo pokolenie do pokolenia
Przekaże Znicz ten bezpiecznie.

...Przez Ciebie przeszłość z mroków wieczności
Tylekroć z martwych powstała...
Tyś ją obłóczył w szaty młodości,
Cześć Tobie za to... i chwała.

Żyją postacie któreś Ty stworzył,
Wśród nas... jak bracia, jak duchy.
A któżby serca im nie otworzył,
Wszakże to bratnie nam duchy?

Skrapiali potem tę samą rolę,
Którą krajemy swym pługiem,
I wspólną z nami dzieliłeś dolę,
Jednolitem pasmem długiem.

Przed sobą mieli też same cele
I myśl co w sercach nam tleje...
Tysiące czynów, zawodów wiele...
I wspólne z nami nadzieje.

Tyś ojcem myśli, pracy Tytanem...
Odgłosem czucia współbraci,

(*) Słowa zamieszczone w powieści „Sfinks".

Śmierć Twoja Mistrzu, to z martwychwstanie.
...Tracąc się kraj Twój, nie tracił...

Więc choć Cię śmierci spowiły cienia,
Do snu po burzach tej ziemi —
Wpływ Twój na przyszłość i pokolenia,
Wyryty zgłoski wiecznemi...

Edward Nałęcz.

PIERWSZA TAJEMNICA.

OPOWIEDZIAŁA

Maryą Napieralska.

Był to ostatni rok mego pobytu na pensyi w Warszawie.

Rok ostatni, a więc najprzyjemniejszy, najszczęśliwszy, ponieważ łączył się z rychłą nadzieją pożegnania murów pensyonarskich na zawsze, z nadzieją zrzucenia granatowego mundurka, w celu iżby otrzymać dyplom dorosłej panny, o czem każda z nas tak rozkosznie marzy.

Wiemy, że młodość pragnie zbierać na swej drodze same tylko kwiaty, że jest zuchwałą, wymagającą, zdaje się jej, że dla niej tylko słońce świeci, dla jej uciechy panują ciepłe, księżycowe noce, pragnie samych uśmiechów i wesela.

Za kilka miesięcy miałam opuścić pensyę i chwili tej oczekiwałam z upragnieniem. Ani odrobina żalu nie mieściła się w mojem sercu, zwłaszcza gdym pomyślała o tych codziennych spacerach po lekcyach, których poprostu nie cierpiałam.

Napatrzywszy się przez całe sześć lat na czarne ławy i poważne twarze profesorów, chciałam czemprędzej otrząsnąć się z pyłu kredy i ołówków, by wejść w inne życie, co znaczyło nie uczyć się przenudnej arytmetyki, nie mordować głowy nad egzaminami, a natomiast być zupełnie swobodną jak panny, którym zazdrościłam długich sukienek.

Swobodę wyobrażałam sobie w postaci uroczego balu, gdzie przecież nie tańcuje się z uczniami gimnazyum ani jedna z drugą. Będąc na pensyi od lat dziesięciu życia do piętnastu, wiedziałam nie wiele o świecie i ludziach, a jedyną pobudką do opuszczenia pensyi była właśnie ciekawość do poznania tego wszystkiego, o czem dotąd nie posiadałam pewnego wyobrażenia, a co mi się zdawało bardzo świetnem i bardzo obiecującem. A jednak nie posiadałam tych wszystkich warunków, przez jakie można być chociaż w części szczęśliwą, jak to utrzymują ludzie: oto nie miałam żadnego majątku, a nawet zapewnienia bytu, będąc ubogą prawie. Bez rodziców, nawet bez znajomych i stosunków, jakąż mogłam mieć rękojmię na przyszłość, pokładając jedyną nadzieję w pracy rąk własnych?

Czyż bowiem młoda dziewczyna sama jedna w wielkim świecie może ufać, że zawsze wystarczy jej zdrowia, cierpliwości i sposobności do pracy? Jedyna osoba z mej rodziny otaczająca mnie swą opieką, była moja staruszka, poczciwa babka, matka mojej matki. Ona mnie nadewszystko kochała, ją jedną tylko prawie znałam.

Na pensyi uczyłam się darmo, ale nie nauka wyrobiła mi to stypendyum. Babka opowiadała, że raz przypadkowym sposobem moja przełożona zobaczyła mnie małą wówczas dziewczynką i podobno ujęta pięknością o jakiej mi ciągle gadali i widokiem niezamożności babki, która radaby podnieść mnie najwyżej, wzięła na swoją pensyę, kazała uczyć i czule pieściła. Trzeba wiedzieć, że posiadałam dwa, rzecz można czynniki, co właśnie moją przyszłość przedstawiały niezmiernie wątpliwie w spokój, w owo zadowolenie złożone częściej może w piersi biednego niż bogacza. Pierwszym z czynników była piękność; drugim nadzwyczajna żądza bogactwa. Żem była piękną, to wiedziałam tajemnie od zwierciadła, od koleżanek, nakoniec od wszystkich widzących mnie raz chociażby. Jak zaś namiętnie pragnęłam bogactwa, o tem wiedziałam sama tylko, a było to najgorętszem pragnieniem. Odwracałam się od ubóstwa, kochając namiętnie błyskotki wszelkie, wieleż to razy wydając westchnienie z powodu niemożności kupienia jakiej sukni, lub bransolety, pochylałam rozdrażnioną głowę chmurząc czoło. Babka mieszkająca na Nowo-miejskiej ulicy na facyatce 4-go piętra, nie mogła mi w żaden sposób dostarczyć tego, co niepodobnem było do zdobycia. Gorzej jeszcze było, kiedy przełożona brała mnie z sobą do teatru, gdzie światło, muzyka i tłum publiczności odurzały tak, że następnie dzień cały chodziłam po klasie rozmarzona.

Zazdrość przejmowała na myśl o koleżankach bogatych, które po skończeniu pensyi, miały rozpocząć nowe życie tańcem i wesołością, tymczasem ja, miałam być guwernantką w jakim prywatnym domu.

Nie dziwna to rzecz, że wówczaa mając rok szesnasty zaledwie, nie myślałam o sobie podobnie jak dzisiaj, ale patrzałam na świat promiennem okiem, wierząc stale, że muszę zdobyć ten wymarzony kwiat szczęścia, chociażby mi przyszło rwać paproć w noc ś-to-Jańską. Nietyle zajmował mnie przyszły nauczycielski zawód, ile jakieś wesołe mary snujące się niewyczerpanem pasmem w mej głowie ozdobionej czarności kruczej kędziorami, jakich zazdrościły wszystkie panny.

Najwięcej kochałam z koleżanek dobrą Wandę, która miała przydomek Wielka, a to dla sprzeczności ze mną, mającej na imię także Wanda, ale Mała. Różnica wzrostu nadawała nam te przydomki. Wanda miała rok ośmnasty, była wysoką, smagłą, a chociaż nie mogła się liczyć do ładnych panien, to wdzięk jej arystokratyczny wrodzony, delikatność i grzeczność w postępowaniu, mogła dla niej jednać serca otaczających. Przytem Wielka Wanda była niezmiernie bogatą. Ojciec jej właściciel obszernych dóbr na Ukrainie, był panem co się zowie, przyjeżdżał często aż z za Kijowa do Wandy, prócz której miał jedną tylko jeszcze czternastoletnią córkę, uczącą się dotąd w domu, zarządzanym przez kuzynę w poważnym wieku. Co niedziela i święto krewni w Warszawie mieszkający zabierali Wandę do siebie, a wtedy z niecierpliwością oczekiwałam jej przybycia, pragnąc się dowiedzieć czy była na jakiej zabawie, co robiła, jakich wrażeń doznawała.

Ale moja Wielka koleżanka nie była takiem żywem srebrem jak ja. Przeciwnie, powaga pewna cechowała w niej wszystko co bądź czyniła, dlatego mimowolnie prawie odczuwałam jej wyższość nad sobą, bo nie zajmowała się błachostkami i często śmiała się z moich porywów i zapałów, o jakie było u mnie tak łatwo, jak o ogień za potarciem zapałki.

Wanda kochała moją małą osóbkę także, chociaż mała Wanda nie dorastała jej ramienia. Widziałam, że często wpatrywała się z przywiązaniem we mnie, na co ja odpowiadając uśmieszkiem myślałam sobie: co za szkoda, że ona nie ma takiej twarzy, jaką ludzie mówią, że ja posiadam.

Pochwały wydawały mi się już tak zwyczajnemi, tak przywykłam do nich, że przyznanie się do własnej piękności nie było niczem nadzwyczajnem. Ostatecznie Wanda brzydką wcale nie była, a chociaż miała zupełnie pospolitą powierzchowność, natomiast posiadała śliczną postawę. Oczy jej ciemne nie odznaczały się szczególnym blaskiem, nie rzucały z siebie iskier jak moje czarne, jednak łagodny, spokojny ich wyraz nie był bez uroku. Usta miała za wązkie, nos niezupełnie zgrabny, ale moja kochana Wanda posiadała tyle przymiotów wykształcenia, rozsądku niezwykłego, że prawie niektóre niedostatki niknęły zupełnie wobec prawdziwej piękności duszy i wysokiego umysłu.

Mimo ogromnej różnicy zachodzącej w naszych postaciach, charakterze i usposobieniu, stosunek między nami był zupełnie przyjacielski. Tajemnic żadnych nie miałyśmy dla siebie.

Niezadługo miał nadejść czas, że opuściwszy miejsce tyle lat zajmowane razem, może wypadnie pożegnać się nam na zawsze u wrót pensyi, bo drogi naszego życia muszą się rozejść, przez wynik różnego położenia w świecie.

Przyjaźń szkolna mogła nadal trwać w sercach, ale bogata dziedziczka i biedna guwernantka, mogły się z sobą nigdy już nie spotkać na gościńcu ludzkiej wędrówki.

Ostatnie święta Wielkanocne jakie przepędziłam na pensyi już przeszły, a Wielka Wanda nie wróciła jeszcze z Ukrainy.

— Aha! mój olbrzym pewnie zabawia się doskonale w Kijowie — mówiło mi przeczucie jednego wieczoru, gdym patrzała na puste łóżko stojące przy mem łóżku. Nie miałam szeptać do kogo i śmiać się cichaczem pod kołdrą, bo mój rok szesnasty był jeszcze pusty, ogromnie pusty.

Nazajutrz rano przyjechała Wanda. Dowiedziałam się o tem w klasie, korzystając więc z najpierwszej sposobności wysunęłam się i pobiegłam do niej. Uściskałyśmy się serdecznie, a Wielka Wanda była tym razem niezwykle prawie ożywiona. Wypytując się o rozmaite szczegóły, pomagałam do rozpakowania rzeczy. Między książkami spostrzegłam jedną niewidzianą dotąd i tę z ciekawością zaczęłam oglądać, podczas gdy moja koleżanka zajęta układaniem stała odwrócona ode mnie. Był to niewielki tomik tłomaczonych poezyi Tennysona, w prześlicznej oprawie ze złoconemi brzegami.

Z pomiędzy kartek nagle wypadł na podłogę jakiś różowy przedmiot. Schyliłam się szybko dla podjęcia, odwinęłam w mgnieniu oka różową bibułkę i dopiero wtedy została mi w ręku fotografia, przedstawiająca młodego mężczyznę oficera o rysach tak regularnych, jak tylko można sobie wyobrazić,

Przez dość długą chwilę patrzyłam w milczeniu na smagłą, wyrazistą twarz i usta, nadające zawsze pewien, rzecz można, charakter całej twarzy, a usta były tu śmiejące, żywe.

— Wandziu — zagadnęłam zbliżając się do przyjaciółki — czy to jaki bohater Tennysona?

Zagadnięta zwróciła oczy na podsuniętą fotografię i natychmiast na jej twarzy mocno zmieszanej ukazał się szkarłatny rumieniec. Przez kilka sekund zatrzymała z osłupieniem wzrok na minia-

turze, a potem nagle z niezwykłą porywczością wyrwała mi ją z ręki, mówiąc:

— Nie rozumiem co to znaczy, zkąd się ta fotografia tu wzięła?

Gestem ukazałam jej książkę, a wtedy pomieszanie Wielkiej Wandy wzrosło jeszcze więcej. Zdumiona wpatrywała się w nią. Ta poważna, spokojna dziewczyna zdawała się ulegać czemuś nadzwyczajnemu.

— Wando, co to znaczy? Ja teraz z kolei nie rozumiem — rzekłam wreszcie.

Przybiegła do mnie, rozśmiała się i zamknąwszy mi usta pocałunkiem, objęła w pół i obie poszłyśmy do klasy. Uważna, pilna, jak zwykle zajęła się lekcyą, ile razy przecież spotkała się ze mną wzrokiem, kraśniała cała. Jakże niecierpliwie oczekiwałam skończenia lekcyi, chcąc najprędzej wypytywać się, prześladować Wandę, a kiedy wreszcie nastąpiło zakończenie, zaczął się początek badania Wandy. Daremne przecież było użycie wszelkich sposobów ku temu, Wanda zachowała zupełne milczenie w przedmiocie fotografii.

— Daję ci słowo — mówiła — że nie pojmuję jakim sposobem przywiozłam ją aż tutaj.

— Mniejsza o to — przerwałam — powiedz tylko czy znasz tego mężczyznę, powiedz mi wszystko.

— Nie mogę powiedzieć, nie! — brzmiała odpowiedź wielkiej Wandy.—Moja droga, nic ci o tem nie powiem, niech to będzie pierwszą tajemnicą.

— Tajemnicą? — powtórzyłam. — Ja tak lubię tajemnice odkrywać — rzekłam naiwnie.

Od tej pory nie było o tem mowy między nami, znając stanowczość koleżanki, wiedząc, że nie zmieni danego słowa, nie nalegałam więcej o to.

Tymczasem nadeszły wakacye. Wanda miała jechać na Ukrainę, ja z woli mej dobrej przełożonej, miałam ostatnie wakacye przepędzić z nią, aż do czasu, kiedy się znajdzie odpowiednie miejsce dla mnie za nauczycielkę.

Gdy wszystkie klasy i pokoje naszej pensyi wypróżniły się z uczenic, gdy nakoniec Wanda po raz ostatni weszła ze mną do wspólnego pokoju, stanęły nam łzy w oczach i rzuciłyśmy się w wzajemne objęcia.

Nie wiedząc kiedy znów zobaczymy się z sobą, pamiętałyśmy tylko o rozstaniu bardzo przykrem dla nas po raz pierwszy w życiu. Kto wie czy zobaczymy się z sobą kiedy i w jakich to nastąpi okolicznościach.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

ZMIANA.

Lubiłem niegdyś wiosny poranki promienne,
Wesołe ptaków śpiewy i kobierce z kwiatów,
Dziś, lubię dni pochmurne, gęste mgły jesienne,
A przeciągły świst wiatru jest mi mową światów.

„Co za dziwak szczególny!" niejeden mi powie:
„I cóż jest w słotnym wichrze co szybami wstrząsa?
„Któż bierze w miejsce kwiatów, ciernie na wezgłowie,
„Lub przygarnia do siebie tego co się dąsa?"

A wiecież, co ja w smutnym jęku wiatru słyszę?
Głosy duchów zaziemskich, które on kołysze,
Gdy te płaczą nad losem biednej naszej ziemi.

Lecz wam inne panują wszechwładne powaby,
I szum gniewnej przyrody dla was jest za słaby,
Choć wam daje przestrogi słowami grzmiącemi.

M. H. Truszkowski.

KILKA DNI W NOWYM-YORKU.

Z NOTAT PODRÓŻY

KAROLA BIGOT.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

(Dokończenie.)

Delegacya francuzka czuła się obowiązaną odwiedzić w Domu Białym, prezydenta Stanów zjednoczonych, podziękować mu za przybycie do Nowego Yorku i za uroczyste przyjęcie w imieniu Ameryki posągu Bartholdego. Zażądaliśmy posłuchania: w środę o ósmej wieczorem wyjeżdżamy do Washingtonu.

Większa część drogi, ciągnie się okolicą wcale niemalowniczą. Od strony morza kraj płaski, rodzaj stepu zarosłego pożółkłą trawą i sitowiem. Mało wsi, mało fermów.

Amerykańskie wagony trzy razy dłuższe od naszych. Wchodzi się do nich po wschodach z obu końców, po bokach nie ma drzwiczek. Wagony łączą się z sobą, ztąd zupełne bezpieczeństwo i łatwa kontrola. Ma to jednak niedogodności: jeśliby przypadkiem wywrócił się jeden wagon, trudno passażerom wydobyć się z więzienia. Okropny wypadek tego rodzaju zdarzył się tydzień temu w Minesola. Dwa pociągi najechały na siebie: zapalił się wagon w którym było ośmnaście osób, jeden tylko podróżny zdołał uciec poparzony cały, siedmnaście osób spłonęło.

W pociągach amerykańskich jest tylko jedna klasa, ale obok zwykłych wagonów są inne z przepychem ozdobione. Kiedy nam we Francyi wciąż mówią o równości amerykańskiej, wymaga to zawsze niejakich zastrzeżeń. W tych zbytkownych wagonach, każdy podróżny ma wygodny fotel wykręcający się w około. Gdy wybije godzina obiadowa, murzyn przynosi deszczułkę, przytwierdza ją do ziemi; ten zaimprowany stolik nakrywa na dwie osoby. Jeśli droga żelazna prowadzi przez Stan, którego reprezentanci wotowali prawo wstrzemięźliwości, naprożnobyś żądał butelki wina, lub kieliszka likieru. Widać ztąd że amerykanie pojąć nie mogą wolności na europejski sposób.

Przejeżdżamy rzekę Delaware. Pociąg staje chwilę na dworcu w Filadelfii. Wspaniale to miasto przedstawia się z daleka. Mijamy zatokę Chesapeake, tu kraj więcej ożywiony, ziemia uprawna lepiej. Ale Ameryka długo poczeka, nim zabraknie ziemi dla jéj mieszkańców. Dzień prześliczny, słońce przypieka, spuszczamy się wciąż na południe. Znajdujemy tu jeszcze na drzewach, szczątki tych liści, złotych i purpurowych, które nas uderzyły w okolicach Nowego Yorku.

Mijamy kilka tunelów, wjeżdżamy na dolinę Potomaku, pełną stawów i bagnisk. Wkrótce spostrzegamy po prawej ręce kopułę panującą na wzgórzu, a poniżej rozsiadłe miasto. To Washington ze swoim kapitolem.

Nazajutrz z rana, pojazdy zaszły po nas do hotelu Arlington gdzieśmy się ulokowali. Wojskowa część Delegacyi, przyoblekła mundury. Ministerya i Dom Biały, leżą ztąd o kilka kroków. Zawieziono nas nasamprzód do Sekretaryatu Spraw Zagranicznych, wprowadzono do wielkiej sali ozdobionej portretami. Otworzyły się drzwi na lewo wszedł minister amerykański. W miarę jak przechodzi koło nas, hrabia Salla nasz pełnomocnik w Washingtonie, wymienia członków Delegacyi. Minister podał każdemu rękę, wita każdego grzecznem słowem i kończy się ceremonia.

Wsiadamy do pojazdów, skręcamy w poblizki dziedziniec. Otóż jesteśmy u drzwi Białego Domu. Biały on w rzeczy samej. Wprowadzono nas do centralnej sali na dole; wielka to sala owalna, z wyjściem na ogród. Ściany powleczone blado błękitną wypłowiałą materyą, tak samo pokryte i meble. Wszystko to datuje od czasów prezydenta Linkolna. Utrzymanie Białego Domu, nie zrujnuje Stanów Zjednoczonych. Każda prefektura francuzka okazalej wygląda.

W minutę po przybyciu naszem, rozwarły się drzwi na prawo, wszedł niemi prezydent Claweland, ubrany w czerwony surdut.

Minister przedstawia nas po jednemu: defilujemy przed Prezydentem. Po urzędowéj prezentacyi, p. Claweland odpowiedział w kilku grzecznych słowach, przemówił następnie Bartholdi, polecił prezydentowi sprawę artystów francuzkich, którzy domagają się zmniejszenia taksy 33 na 100 nałożonej na dzieła sztuki wprowadzone do Ameryki. P. Claweland przyrzekł wnieść sprawę do kongresu.

Audiencya skończona, kłaniamy się i odchodzimy. Przed dwunastą będziemy z powrotem w hotelu. Urzędowe ceremonie, mają tu wielką zaletę, że się bardzo prędko odbywają.

Piękne to miasto Washington. Widok jego, dziwnie raduje oczy tym zwłaszcza co przybywają z Nowego Yorku. Nie szukać tu planu geometrycznego; ulice nie krzyżują się pod prostym kątem. Gdzie rzuć okiem rozmaitość; fantazya, co krok spotykasz jakąś niespodziankę; pełno tu ogrodów publicznych i prywatnych, skwery i place wysadzone wielkiemi drzewami. Możnaby z przyjemnością zamieszkać w Washingtonie. Domy nierównie piękniejsze tu niż w Nowym Yorku, magazyny nie tak ściśnięte jak na Broadway. Słowem Washington wygląda na stolicę, przypomina poniekąd Wersal, ale mniej jednostajny, mniej uroczysty od naszego Wersalu.

Miasto wielkie, zbyt wielkie nawet dla zamieszkującej je ludności. Ulice i aleje, o dziesięć razy szersze są niż tego wymaga cyrkulacya. Na wszystkie strony krzyżują się tramwaje, zapełnione ledwie do połowy. Z wielką swobodą krążą welocypedy nie zawadzając o przechodniów. Rozrywka ta ulubiona młodzieży Washingtońskiej po niesłychanej ciżbie na Broadway miłe robiła wrażenie.

Mnóstwo tu murzynów: widać że się zbliżamy do Stanów południowych. Stangreci wszyscy czarni,

służba hotelowa złożona z samych Negrów. Z pod ich skóry hebanowej wygląda wyraz twarzy poczciwy, pełen dziecięcej naiwności. Krzątają się żwawo, pełnią wybornie służbę, pragną się każdemu przypodobać. Do ich grzeszków należy łakomstwo, a niekiedy i kłamstwo, mimo to wszyscy ich lubią, bo weseli i grzeczni.

Skóra ich wydaje szczególną woń, na którą mydło nic nie pomaga. Kilku z nas odwiedziło szkołę młodych Negrów, wzorowo utrzymaną. Uderzył nas wesoły humor młodzieży, radzi byliśmy jednak wyszedłszy na świeże powietrze.

Kolumbia, gdzie leży Washington, nie tworzy osobnego Stanu ale oddzielny okrąg. Tu wyłącznie rządzi sam kongres, nie ma tu centralnej municypalności, kongres stanowi o wszelkich potrzebach stołecznego miasta. Reprezentanci rzeczypospolitej nie chcą pozwolić na to, aby jakaśkolwiek miejscowa władza tamowała ich niepodległość.

Washington posiada dwa pomniki któremi chlubią się Amerykanie: obelisk i kapitol. Obelisk wznosi się pomiędzy Dworem Białym a rzeką Potomak, na znacznej wysokości. Nie jest to monolit: zbudowano go z ogromnych brył kamiennych, zwiezionych tu ze wszystkich Stanów. To symbol federacyi Amerykańskiej. Wewnątrz wschodki prowadzą na szczyt manumentu.

Kapitol jak mówiłem, zbudowany na wyżynie panującej nad miastem, po lewym brzegu Potomaku. Widać go z każdej strony, prowadzą do niego piękne aleje, wysadzone drzewami, otacza go rozległy ogród. Olbrzymia to massa kamienna, a raczej marmurowa, wieńczy ją kopuła przypominająca kopułę Św. Piotra w Rzymie, lub właściwie mówiąc Panteonu; na wierzchołku jej umieszczona ogromna luneta. Gmach składa się z dwóch wielkich skrzydeł, po obu stronach kopuły. W jednem obraduje Senat i sąd najwyższy, w drugiej Izba Deputowanych, czyli kongres.

W tej chwili kapitol pusty i milczący. Członkowie obu Izb, rozjechali się na wakacye. Tem łatwiej nam obejść miejsca ich obrad. Urządzenie ich wyborne. Ameryka nie lubi wielkich zebrań parlamentarnych. Senat ma tylko po dwóch reprezentantów z każdego Stanu. Deputowani i Senatorowie, zasiadają w wielkich fotelach, każdy przemawia z miejsca. Obok sali obrad jest inna rozległa sala: tu można rozmawiać, palić tytuń, a nawet podrzymać wygodnie.

Niemniej praktycznie urządzone biura, sale komissyi i archiwów. W poblizkim bufecie zakazana surowo sprzedaż napojów alkoholicznych. Długa sala obok Izby Deputowanych zapełniona cała posągami: widzimy tu wykute z marmuru postacie najsłynniejszych prezydentów rzeczypospolitej, wielkich oratorów, mężów stanu, wodzów i admirałów. Jest to rzec można, muzeum wdzięczności narodowej.

O piątej wsiadamy do wagonów. W dziesięć godzin potem byliśmy z powrotem w Nowym Yorku.

* * *

Pobyt nasz w Ameryce zbliżył się do końca: Delegacya francuzka dopełniła już swej missyi. Ostatni bankiet w Hofmann-Honse, zgromadził w około nas głównych członków komitetu Amerykańskiego, prezesów wszystkich towarzystw, które nas poprzednio przyjmowały. My wyprawiamy ten bankiet, słaby dowód wdzięczności naszej.

Szczęśliwsi z pomiędzy nas pozostaną jeszcze po tamtej stronie Oceanu, zwiedzą Boston odpowiedzą na zaprosiny kanadyjskich współrodaków naszych, zobaczą także Chicago, wielkie miasta północno-zachodnie, ale nie wszyscy mamy prawo pozwolić sobie tej uciechy. Ważne obowiązki powołują nas do Francyi.

Dzień wyjazdu przypada w Sobotę, 6 Listopada, o pierwszej po południu, w godzinę wielkiego przypływu. Nastąpiła chwila pożegnania, chwila jak zwykle przykra. Towarzysze, którzy zostają dłużej, odprowadzili nas na statek; nasi przyjaciele amerykańscy zgromadzili się też w wielkiej liczbie. Przysłali nam na drogę ogromne kosze owoców: przepyszne winogrona z muszkatelowym aromatem, gruszki bajecznej wielkości, jabłka godne ziemskiego raju. Obsypali nas też bukietami z róż białych, żółtych i purpurowych. Powtarzamy jednomyślnie: do widzenia! do widzenia w Paryżu, do widzenia też w Nowym Yorku; ktokolwiek bowiem postawił stopę na ziemi amerykańskiej, pragnie tam jeszcze powrócić.

Oprócz przyjaciół z którymi zamieniliśmy serdeczny uścisk ręki, odprowadziły nas nieprzeliczone tłumy. Ogromne rojowiska ludzi, zaległo okoliczne wybrzeże. W chwili kiedy parostatek *Gaskonia* podniósł kotwicę, rozgrzmiał w powietrzu okrzyk: „szczęśliwej podróży! niech żyje delegacya francuzka! niech żyje Francya!" A kiedy statek daleko już odpłynął, kiedy okrzyk zgłuszony pluskiem fal nie mógł już dobiedz nam do ucha, widzimy jeszcze tysiące białych chustek, powiewających w powietrzu, na znak życzliwego pożegnania!

KONIEC.

Z KRAINY PIĘKNA.

„NAPAD ROZBÓJNICZY".

Obraz Jerzego Rochegrossea nagrodzony złotym medalem w Salonie Paryzkim.

Warszawa posiada od kilku tygodni w murach swoich, niepospolite dzieło malarskie, którego pięknością cała już zachwycała się Europa, a jednak dzienniki milczą o niem dyskretnie, publiczność zaś niezbyt tłumnie spieszy oglądać pracę, zbywaną przez fachową krytykę, krótką tylko wzmianką. Fakt ten zagadkowy na pozór, tłomaczy się jednak bardzo łatwo. Były salon Krywulta a dziś Suchorzewskiego, nie cieszy się względami kuryerkowych organów, wspaniała zaś kompozycya Rochegrossea, w nim wystawioną została.

Wolni od koteryjnych uprzedzeń sprobujmy przyjrzeć jej się bliżej.

W olbrzymich rozmiarów płótnie, uderza nas najpierw ton dziwnej pogody i spokoju, ton podniesiony do takiej doskonałości, że aż może psuje wrażenie, jakie temat równie tragiczny, powinienby wywierać na widzu. Groza, uczucie przerażenia, zostają tu zastąpione podziwem.

W wielkiej, sklepowej sali zamkowej, gromadka kobiet i dzieci zbitych w jedną grupę, drżących z przestrachu i obawy, oczekuje na śmierć pewną z ręki rozszalałej tłuszczy, która łamiąc drzwi i okna wpada mścić się na panach zamku, na swych ciemięzcach poniekąd. Wiedzą, iż zostaną tu tylko niewinne niewiasty i niemowlęta, wzgląd ten jednak nie zdoła powstrzymać krwią upojonego tłumu. Czując śmierć niechybną, matka rodu staje przed gromadką zbitych dzieci i wnuków, jak gdyby własną piersią osłonić ich chciała, a piękna ta postać siwowłosa w surowym stroju zakonnym, tak po spartańsku spokojna i dumnie wyprostowana, z niezmierną traktowana jest szlachetnością. Próbowała jak lwica bronić swego gniazda, stawić czoło mękom i śmierci, ale los sroższą zgotował jej torturę. Oto oczy jej padają najpierw na krwią zbroczoną odciętą głowę syna a pana zamku, którą motłoch tłoczący się do sali przez wyłamane okno, w tryumfie niesie przed sobą.

Na widok ten matka skamieniała i skamieniałą też z boleści i przerażenia przedstawia nam ją pędzel Rochegrossea. Niesłusznie więc jak sądzę, zarzucają krytycy sztywność tej pięknie pojętej i oddanej postaci. Na innych kobietach widok trupiej głowy męża i ojca, odrębne czyni wrażenie. Niedowierzanie i przestrach wyryte u na pół zdziecinniałej staruszki, babki zabitego zapewne, wzruszające są w swej sile. Z młodszych, jedna z oczami z orbit wyszłemi, padła nieprzytomna (poza nieestetyczna i wadliwie rysowana), drugie zdają się od zmysłów odchodzić. Wogóle postacie kobiet tych i dzieci oddane zostały z łudzącą prawdą i mistrzostwem.

Nie można tego samego powiedzieć o bandzie rozjuszonych „Rozbójników". Najpierw postacie są prawie wszystkie zamałe, tak iż dla oka widza mają coś lilipuciego w sobie, co odbiera im wyraz siły brutalnej i wściekłości, a tem samem osłabia wrażenie!

Jedna tylko stara kobieta, istny typ wiedźmy, idyotycznym swym i zwierzęcym wyrazem, należy do bardzo oryginalnie pomyślanych kreacyi. Inne, bezmyślne, tak się przedstawiają, jak gdyby je od widza znaczna dzieliła odległość. Przez ten sam błąd rysunku, grupa kobiet zdaje się być umieszczoną za nizko, jakby w suterenie, a głowa pana zamku na oszczep nadziana, zbyt mała i zbyt oddalona, pozbawiona jest wszelkiego wyrazu, widz zaś zachwycony grupą na pierwszym planie, nie lęka się jednak śmierci dla niej, bo ulega złudzeniu, że sam wzrok matrony, potrafi powstrzymać na wodzy tych pijanych karłów.

Całość doskonale wykończona w szczegółach, otrzymała złoty medal w Salonie Paryzkim, a fakt ten chyba najlepiej potwierdza dodatnie wrażenie estetyczne, z jakiem opuszczamy salę, notując sobie w pamięci imię Rochegrossea, między szczupłą garstką nazwisk, które mocą talentu swego, potrafiły unieść nas przez chwilę w zaczarowaną piękna krainę.

An. Krz.

TEATR.

Noe, opera w trzech aktach, muzyka Halevego i Bizeta.

Mamy wprawdzie najstarszą powieść, p. t. *Ogniem i mieczem*, bo jeszcze przed Potopem napisaną, jak się dowcipnie wyraziło jedno z Pism humorystycznych, ale nie słyszeliśmy dotąd o operze, coby treść do niej zaczerpnięto z legendy tak wielce starożytnej.

Zrobiono to wreszcie i na scenę wprowadzono Noego z gronem jego rodzinnem, a nawet z Arką i potopem i ledwo że nie ze zwierzętami przed ogólną zagładą ocalonemi.

Treść to niezwykła, a zatem i ciekawa, jak sobie autor libreta radził, z ułożeniem całości mającej na wielką operę wystarczyć.

Rzecz naturalnie dzieje się w głębokiej bardzo starożytności, według Księgi Rodzaju na lat 3,308 przed narodzeniem Chrystusa.

Za podniesieniem zasłony brzmi głos Noego otoczonego całą drużyną. Brzask dnia rozświetla wschodzące słońce, patryarcha sławiąc piękności dnia rozpoczynającego się, ogłasza że jest on przytem dniem radości, albowiem syn jego Sem zawiera związki małżeńskie. Wszyscy więc cieszą się, ale jak dziś tak widać zawsze bywało, że radość tylko na małą chwilkę poprzedza smutek, bo zaraz po rozejściu się chórowej drużyny, Sara małżonka Chama, skarży się Noemu, że przez męża zupełnie została opuszczona. Nadto zwierza się patryarsze ze snów ją trapiących, w których widzi zawsze jedną postać nieziemską, przypatrującą się jej z niezwykłem zajęciem. Noe zastanawia się nad tem, ale przybywają spodziewani oblubieńcy otoczeni gronem godowników.

Scena to bardzo malownicza: oblubieńcy składają dary, palą się pachnidła w amforach, wszyscy zdają się zajęci szczęściem młodej pary, ale nagle wchodzi Cham i w jednej chwili wszystko ulega zmianie. Gwałtowny i namiętny po równie gwałtownej scenie z żoną swą Sarą, rozstaje się z nią na zawsze. Noe bolejąc nad waśnią młodej pary rozpoczyna modlitwę błagalną o zgodę i na tem kończy się akt pierwszy opery.

W akcie drugim widzimy Sarę po nużącej pielgrzymce wypoczywającą samotnie, a nad nią stoi anioł białoskrzydły Ituriel, wpatrzony w nią miłośnie. W duszy jego odbywa się walka dwóch natur ziemskiej i niebieskiej; chóry archanielskie wzywają go do upamiętania się, do wyrwania z więzów namiętności przykuwającej go do ziemi.

— Bracia!—mówi Ituriel,—wracam do was, idę, idę!

Ale w tej chwili spogląda na Sarę.... z ust jej wysuwa się szept słów przez sen wymawianych.... Sara marzy a w marzeniu swem widzi jego. Namiętność ziemska bierze przewagę, Ituriel pełen zachwytu pada na kolana i dając folgę wezbranemu uczuciu, śpiewa pieśń miłości...

Z ostatnim jej tonem jeszcze nieprzebrzmiałym zupełnie, uderza piorun, obcina mu skrzydła, Ituriel wydaje okrzyk trwogi straszliwej a Sara zrywa się, przeciera oczy i sama mówi do siebie:

— Ah! jakiż straszny sen miałam! — A ty kto jesteś?—zapytuje Ituriela spostrzegając go jednocześnie.

— Jam jest ten, odpowiada Ituriel, co aniołem był w niebie.

Sara słuchając, zaczyna toczyć walkę z własnem uczuciem. Ituriel wzywa ją z sobą do podróży, ta się wzbrania, wtem daje się słyszeć jakaś niezwykła muzyka, dzika, gwałtowna. To Cham przychodzi z całem gronem swych towarzyszy. Miłosna para poznaje ich i uchodzi w dalsze strony świata!

Zaraz potem wbiegają na scenę towarzysze Chama z pałkami i przyprowadzają schwytaną Ebbę, narzeczoną Sema.

Cham pali do niej koperczaki, Sem dziwi się, zaczyna się swarzyć z Chamem, na co ten niezwracając najmniejszej uwagi, chwyta Ebbę i z sobą ją uprowadza.

Nie wiedzieliśmy że podobne figielki działy się jeszcze przed potopem, a potulność oblubieńca a nawet i oblubienicy, godne naznaczenia.

W akcie trzecim znajdujemy się w pałacu Ituriela, w jego królestwie. Na tronie siedzi on sam i obok niego Sara, w dali malowniczy krajobraz z całym przepychem wschodniego bogactwa, a na scenie odbywa się świetny balet. Ituriel pragnie rozkoszy życia i czerpać z pełnej czary szczęścia ziemskiego. Sara tych pragnień niepodziela, odpycha je, tęschni za czemś niewiadomem i myślą jest ciągle przy rodzinie Noego, którą porzuciła.

Z końcem baletu ślicznie odtańczonego, pomału schodzą się do pałacu Ituriela wszyscy członkowie rodziny Noego, a w końcu on sam przybywa i głosem grozy i oburzenia, rozszalałej chałastrze bliską wróży zgubę.

Wprędce też grom za gromem uderza, powstaje zamieszanie, wszyscy przerażeni wpadają w popłoch rozpaczliwy, ściemnia się, pałac zapada, gromy ciągle biją, błyskawice rozświetlają scenę, chmury wreszcie osłaniają ziemię okrytą powszechnym potopem.

W drugim obrazie, chmury rozpraszają się, w oddaleniu widać górę Ararat, a na jej szczycie arkę i Noego, otoczonego rodziną i składającą dziękczynne modły za ocalenie.

Cham upamiętany w szaleństwie klęczy przy Sarze, Sem z Ebbą stoją przy nich a pałac Ituriela i całe jego królestwo w falach potopu zagładę znajduje.

Modlitwą kończy się opera a w górze unosi się tęcza, znak łaski i przebaczenia.

Co do muzyki nie będziemy się nad nią szczegółowo rozwodzić. Muzycy z urzędu robią jej wiele zarzutów, wykazując naśladownictwo, chwytanie własnych motywów i trywialność niektórych pomysłów.

Po części mają słuszność, ale mimo tego nie brak tu prawdziwego natchnienia, podniosłości myśli i zręczności w układzie i dlatego całość z prawdziwą przyjemnością wysłuchać można.

G.

WIADOMOŚCI

z pod naszej strzechy i z obczyzny.

Pogodą dni świątecznych Warszawa nie mogła się dosyć nacieszyć. Ludno było wszędzie i rojno, wszystkie usta jedno ożywiało życzenie, jednem uczuciem drgały serca, w jednej myśli łączyły się dłonie w serdecznym uścisku, a lud po modłach uroczystych i pożyciu świątecznego jadła, bawił się na Ujazdowskim placu używając rozlicznych uciech i oklaskując szczęśliwego zdobywcę podarunków, na wysokim słupie umieszczonych.

Na tę zabawę tak pożądaną i niecierpliwie wyczekiwaną, lud warszawski zasłużył pracowitem życiem, co mówiąc nie mam na myśli motłochu miejskiego, owych najwstrętniejszych mętów, rekrutowanych ze wszystkich rozkładowych pierwiastków zgnilizny społecznej, ale ową falangę pracowników co z ciężkim trudem i wielkim mozołem zdobywając kawałek chleba powszedniego, żyją po Bożemu jako ojcowie rodzin i obywatele kraju.

A liczba ich niemała, w połączeniu z ludnością po wsiach rozsypaną to miliony, właściwy podkład społeczny, rola z której plon wszystkiem jest dla nas tak dziś jak w przyszłości. Rolnik zaś nieznający natury swej gleby, nieumiejący więc wniknąć w jej potrzeby i wrodzone przymioty podnieść i udoskonalić, wiecznie błąkać się będzie w zaczarowanem kółku... bez wyjścia i ratunku.

Owemi podobnemi rolnikami jesteśmy prawie wszyscy, a ile na tem tracimy to strach pomyśleć.

W ogólnym zastoju społecznej pracy, godną jest naznaczenia nowego rodzaju spółka, która w miastach głównie rozwinięta ważne nieść może pożytki dla rodzin skromnie uposażonych. Spółka dotyczy umniejszenia kosztów w niezbędnych wydatkach, w którym to celu w jednym z domów na Marjensztadzie, pięć rodzin urzędników kolejowych utworzyło parę miesięcy temu spółkę, która należy u nas do rzeczy niezwykłych.

Rodziny te prowadzą wspólną kuchnię i trzymają jedną kucharkę oraz pokojówkę.

Dwie służące doskonale obsługują pięć rodzin, a wspólna kucharka, nad którą panie każda przez tydzień z kolei deżurując, rozciągają zwierzchni nadzór, znakomicie zmniejsza wydatki.

Według obliczenia dotychczas zrobionego, oszczędność na opale, służbie, wreszcie zysk na prowizyi kupowanej hurtownie, stanowi przynajmniej 20 procent różnicy od tego co poprzednio wydawano.

Harmonia między paniami gospodyniami w niczem dotychczas nie została zakłóconą i rodzima spółka ma wszelkie szanse nietylko utrzymania się ale dalszego rozwoju.

Naturalnie, iż podobna spółka może być zawarta tylko między rodzinami, których dochody i potrzeby są mniej więcej jednakowe, jak to jest właśnie w danym wypadku.

Bank ziemiański w Poznaniu, otworzony na akcye w celu obrony ziemi do przechodzenia w ręce niemieckie, rozwijając się z coraz większą nadzieją

powodzenia, zwrócił uwagę młodych słuchaczek wyższych wykładów naukowych w muzeum d-ra Baranieckiego, których kontyngens mówiąc w nawiasie, składa się nie z mieszkanek Galicyi.

Owóż panienki te wzięły się bardzo szczerze do zbierania pomiędzy sobą składek na zakupno akcyi banku ziemiańskiego w Poznaniu, a sposób, do tego przez nie obmyślony i przyjęty, jest niezmiernie praktycznym, bo szybko i niekosztownie prowadzącym do celu. Każda z nich posiada książeczkę, do której oprócz siebie ma obowiązek wpisać 6 osób, ofiarowujących się płacić na jej ręce po 10 cnt. stałej miesięcznej składki. Przy wpisaniu się do tej książeczki, każda osoba otrzymuje książeczkę nową, dla siebie, z obowiązkiem skaptowania dla sprawy i wciągnięcia do tej książeczki nowych 6 osób, taką samą ofiarujących składkę i t. d., bez ograniczenia.

Czytelnia kobiet we Lwowie, założona przed rokiem, liczy obecnie około 200 członków, posiada swój własny lokal, w którym odbywają się tygodniowe zebrania i odczyty. Odczytów tych w roku 1886 było 22, przeważnie z dziedziny nauki, literatury i sztuk pięknych; biblioteka świeżo założona, posiada już 400 dzieł, dla użytku członków znajdowało się w czytelni dwadzieścia kilka czasopism, obrót kasowy wyniósł 620 złr. 42 cent. Na walnem zgromadzeniu w zeszłym tygodniu zamianowano członkiniami honorowemi towarzystwa ks. Jadwigę Sapieżynę i Felicyę z Wasilewskich Boberską.

Stowarzyszenie polskie w Londynie otrzymało od kilku w Londynie zamieszkałych rodaków obietnicę 18 fst. rocznie, jeżeli opuści szynk, w którym z powodu ubóstwa odbywa dwutygodniowe posiedzenia i znajdzie sobie lokal prywatny.

Jan Tolkemit, wychodźca z wojny węgierskiej i włoskiej, jest przewodniczącym w stowarzyszeniu i jednym z dwóch lub trzech jego członków, którym dobro ziomków w Londynie istotnie leży na sercu.

W niedzielę dnia 13 Marca w stowarzyszeniu tem, znany literat i publicysta polski, p. Naganowski, miał odczyt „O Konradzie Wallenrodzie". Biblioteka Towarzystwa literackiego jest bardzo ubogą w nowsze dzieła polskie, takie nawet dzieła których nie brak zapewne w żadnym domu polskim. Nie posiada kompletnych dzieł Mickiewicza, nie ma nic z pism Słowackiego, Krasińskiego, Wincentego Pola, Syrokomli, Lenartowicza. Bogata w dzieła francuzkie i angielskie, dotyczące Polski, bogata w zbiory aktów dyplomatycznych, nie posiada ani Szujskiego, ani Bobrzyńskiego, ani Korzona, ani Kalinki. Korespondent więc „Kraju", z którego niniejszy artykuł powtarzamy, uprasza w imieniu sekretarza, usilniej zaś jeszcze w imieniu coraz liczniejszych ziomków w Londynie, aby kto może, kto łaskaw, spełnić raczył uczynek istotnie szlachetny i zrobił prezent bibliotece, czy to z dzieł własnych, czy z innych, może sobie niekoniecznie potrzebnych, w każdym razie łatwiejszych do nabycia w miejscu. Adres wprost: „Friends of Poland, 10, Duke Street, St. James London, S. W."

Polacy w Ameryce. W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, jak pisze korespondent „Kraju", wychodzą obecnie następujące ważniejsze pisma polskie: „Zgoda", organ związku w Milwaukee, „Gazeta Polska" w Chicago, „Ojczyzna" w Buffalo, „Wiarus" w Winonie i „Krytyka", pismo socyalistyczne.

Z pism tych „Zgoda", wychodząca raz na tydzień w olbrzymim formacie i dwuarkuszowej objętości, ma jak sama świadcza 2,000 abonentów.

„Ojczyzna" ogłasza, że rozchodzi się w 10,000 egz., co jest amerykańskim „humbugiem".

Pierwsze z tych pism stoi na gruncie pojednawczym i wyznaje zasady umiarkowane. „Wiarus" jest katolicko-patryotyczno-radykalny, na wzór „Gońca Wielkopolskiego". „Zgoda" gorliwie propaguje myśl związku i jest jego organem. „Ojczyzna" trzyma się na uboczu od tego ruchu, powiada jednak, że „najpomyślniej zdołamy sformować byt swój powszedni, jeżeli zaczniemy pisać dzieje potem pracy rozumnej i wytrwałej."

Przemawia za pracą rzeczywiście organiczną, „bez opieki atoli, mówi, skoncentrowanej w system organizacyjny, żadna działalność społeczna nie może wydać dobrych i dojrzałych owoców." W Pittsburgu w niedzielę dnia 13 Lutego odbyło się w obszernej sali miejscowej szkoły publicznej wielkie zebranie polskie, na którem przyszło do zgody między zwolennikami a przeciwnikami związku.

Kapłan miejscowy, ks. Miskiewicz, przeciwny był z razu temu wiązaniu się, dał się jednak przekonać i pociągnąć. Miejscowy również ksiądz Jaworski jest gorliwym propagatorem związku.

Na zebranie przybył umyślnie naczelny cenzor federacyi pan Franciszek Gryglaszewski, zamieszkały w Minucopolisie i gorąco popierał sprawę zjednoczenia.

Wsparł go energicznie pan Józef Rosiński, kapitan rycerzy św. Michała.

Zebranie przyjmowało mówców entuzyastycznie, poczem śpiewano pieśni narodowe.

Korespondent „Zgody" donosił następnie, że związek zyskał w Pittsburgu 800 nowych członków.

W Milwauke odbył się koncert śpiewacki Towarzystwa „Moniuszko", na którym wykonano między innemi „Pieśń o ziemi naszej" Dębińskiego. Solo śpiewali pp. Małek, Słupecki i Żyburtowski.

W tejże miejscowości odbył się bal rycerzy pracy gruppy „Polonia". Mistrzem tej gruppy jest pan Boucel; sekretarzem pan St. Tomkiewicz.

Jeden z dzienników zagranicznych poznańskich w artykule poświęconym sprawie emigracyi, pisze między innemi co następuje:

Należy zawsze o tem pamiętać, iż emigracya dzisiejsza zmieniła znacznie swój charakter. Dawniej były przeważnie, jeżeli nie wyłącznie powody natury politycznej, które ją zmuszały rzucać kraj i szukać bezpiecznego schronienia na obczyznie.

Teraz, naturalną koleją rzeczy, z przyczyn łatwych do odgadnienia, zmalał i zeszczuplał, a maleje i szczupleje coraz więcej procent żywiołu emigracyjnego, który pod przymusem okoliczności politycznych wyszedł za granicę kraju.

Obecnie, podobnie jak u innych narodów europejskich, poczynają i w naszem społeczeństwie odgrywać pierwszorzędną rolę w wychodźtwie nowego autoramentu przyczyny ekonomiczne. Troska o uczciwy chleb powszedni niesłychana, u nas większa niż gdziebądź indziej, trudność zadośćuczynienia materyalnym potrzebom zmuszają, jak tego choćby tylko W. Ks. Poznańskie i Prussy Zachodnie, następnie i Górny Szlązk przekonywająco dowodzą, rok rocznie tysiące naszych ziomków szukać pomieszczenia na drugiej półkuli globu ziemskiego.

Dzięki temu nowemu prądowi, wyrasta wychodźtwo polskie w Ameryce w poważniejszą coraz więcej cyfrę. Niewiadomo nam, czy liczba tej emigracyi statystycznie stwierdzona, czy oznaczone i znane dokładnie okolice, miejscowości, w których się głównie pomieszcza. Ważną przecież w tym względzie wskazówką pozostaną fakta takie, jak np. że Chicago i New-York liczą po 30,000 przeszło ludności polskiej, że ludność polska ma osobne parafie, swoje dzienniki. Ogółem ludność polska w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej wynosić ma do 1,000,000, a fakt, że się tam grupuje i szereguje około wspólnego sztandaru w wyraźnej i stanowczej opozycyi przeciw wszelkim pokusom socyalistycznym, dowodzi, że żywioł polski w Ameryce nie wynaradawia się, ani też tonie w morzu otaczającego germańskiego czy anglosaksońskiego internacyonału. Przeciwnie, rzecz dziwna i pocieszająca razem.

Prosty człowiek, którego z zakątka rodzinnego wypędziła do Ameryki materyalna bieda, szlachetnieje na tym gruncie, wyrabia się na człowieka idei, w miarę poprawy dobrego bytu, pamięta tem wyraźniej o zachowaniu swego charakteru narodowego.

Na wystawie sztuki i starożytności w Warszawie, zdarzają się różne awanturki dość komiczne, w postaci natrętów, którzy proszą, błagają, modlą się prawie o przyjęcie deklaracyi.

Rzeczoznawcy po prostu boją się zasiadać w kancelaryi, gdyż odmawiając są narażeni na przykrości a nawet obelgi.

Niedawno jakiś jegomość wpadł do kancelaryi obładowany najrozmaitszemi przedmiotami i powiada:

— Przyniosłem panom skarby, prawdziwe skarby.

— Ależ my już nic nie przyjmujemy — odpiera któryś z członków dość kategorycznie, ani się kwapiąc oglądać owe „skarby".

Natręt nie daje wszakże za wygranę i prezentuje cudactwa zupełnie seryo.

— Oto puhar kryształowy niebieski, z którego pił król Jan III po zwycięztwie wiedeńskiem! — woła tryumfująco ukazując jakiś kufelek... do wody mineralnej. — Oto oryginał Rafaela, Holbeina, tabakierka drewniana z 1517 roku, krzyżyk z kości słoniowej noszony na piersiach przez króla Stanisława Augusta i t. p.

Kandydat nie zdawał się być obłąkanym, a jednak obudzał on to wrażenie.

Z natarczywego stawał się obelżywym, a następnie, wszystko co przyniósł zostawiwszy, wyszedł z kancelaryi.

* * *

Utalentowany artysta dramatyczny, Kläger, który niegdyś rozpoczął karyerę swoją w Graz, oddawał się zapamiętale nałogowi pijaństwa, co stało się powodem następującego komicznego epizodu na scenie teatru lipskiego. Dawano „Wilhelma Tella"; po pierwszym akcie szatny spostrzegł, że pana Klägera, który miał grać rolę Geslera nie było jeszcze w teatrze.

Rozesłano tedy po wszystkich znanych bawaryach i znaleziono nareszcie artystę, ale już w stanie zupełnie nietrzeźwym.

Zaprowadzono go do garderoby, ubrano go i zaufano wypróbowanemu już niejednokrotnie wpływowi światła kinkietów.

Dowiedzionem bowiem jest, że jaskrawe oświetlenie działa trzeźwiąco. Nieinaczaj stało się i tegoż wieczora o tyle, że groźny tyran mocno wsparty na mieczu swoim jako tako wywiązywał się z roli.

Wszystkie obawy reżysera i grających aktorów zdawały się być usunięte, lecz nadeszła scena z jabłkiem, a każdy pijany, jak wiadomo, skłonnym jest do wzruszeń.

Gdy Tell (p. Marder) na okrutny rozkaz wybucha z rozpaczą, zapytując jak można czegoś podobnego żądać od ojca, usta Gesslera zadrgały boleśnie i dopiero oprzytomnił go głos suflera i zniewolił do powiedzenia:

— Będziesz strzelał do jabłka na głowie chłopca, żądam i chcę tego!

Gdy jednak Tell odpowiedział mu na to:

— Ja mam łukiem moim celować w głowę własnego dziecięcia? Raczej umrę!

Duże łzy potoczyły się po obliczu p. Klägera i zamiast według tekstu rozkaz powtórzyć, zawołał szlochając:

— Nie strzelaj Tellu! Nie strzelaj!

Marder przerażony coprędzej przerwał mu słowami roli swojej:

— Mam zostać mordercą własnego dziecka? Panie wy nie macie dzieci, nie wiecie co się porusza w sercu ojca!

Tego już było za wiele! Gessler znajdował się już w takiem stanie wzruszenia, że go ani ukryć, ani usunąć nie było podobnem.

Rudolf Haras z trudnością zdołał go powstrzymac od uściśnięcia ręki Tellowi i łkającego a wołającego głośno: „Nie strzelaj Tellu!“ Gesslera wyprowadzono ze sceny i kurtyna zapadła.

* * *

Fryderyk Wielki i Polka.

Gdy wkrótce po pierwszym rozbiorze Fryderyk Wielki przybył do Wrocławia, zaszła mu pewnego razu drogę polska wieśniaczka i poczęła prosić, aby uwolnił jej syna wziętego do wojska od służby, albowiem, jak mówiła, trafia się jej właśnie sposobność ożenić go bardzo dobrze. Król nie rozumiejąc po polsku ofuknął niewiastę mówiąc:

— *Sprecht deutsch, das Kauderwelsch mag ja der Teufel verstehen.* (Mówcie po niemiecku. Ten cygański bełkot czart chyba zrozumie).

Wieśniaczka jak umiała tak wyjąkała po niemiecku swą prośbę. Król zrozumiał ostatecznie o co jej chodzi i począł jej tłomaczyć, że prośby jej nie może wysłuchać. Odpowiedział jej naturalnie po niemiecku.

Teraz z kolei wieśniaczka nie zrozumiała co jej król mówił i prosiła go, aby to samo powtórzył po polsku.

Fryderyk powiedział jej na to, że po polsku nie umie. Wtedy rzekła kobieta:

— *Wenn Irh unser König sein wollt, so lernet zuerst polnisch.* (Jeżeli chcesz być naszym królem naucz się wpierw po polsku).

Króla zdziwiły mocno te słowa prostej kobiety, nie okazując jednak gniewu odpowiedział łagodnie:

— *Als ich sprrechen lernte, war ich noch Euer König nich.* (Kiedy uczyłem się mówić, nie byłem jeszcze waszym królem).

Swoją jednak drogą ubodła mocno dumnego monarchę ta uwaga polskiej wieśniaczki. Przybywszy wkrótce z powrotem do Berlina, przywołał do siebie sławnego uczonego Arletiusa, dyrektora Elisabetaneum i zapytał go, czy on (król) potrafiłby się jeszcze nauczyć polskiego języka. Arletius, któremu, jak w ogóle w całym świecie ówczesnym, nie było tajnem, jak dalece Fryderyk Wielki słabym był w mowie i w piśmie we własnym języku rodzinnym, odrzekł na to spokojnie, że książęta nie po to istnieją, aby się uczyli polskiego, oni nie mają nawet czasu aby się swojego nauczyć języka. Krol zrozumiał dobrze tę odpowiedź i odprawiłnatychmiast uczonego dyrektora mówiąc:

— *Wisse er, er ist ein grundgelehrter Mensch, aber eiu sackgrober Kerl.* (Ma wiedzieć, że choć głęboko uczony człowiek ale rzadki grubianin jest).

Namyślił się jednak później i syna owej wieśniaczki od służby uwolnił.

* * *

W Paryżu mieszka bogaty Anglik, lord Peme, który nosi perukę, ale nie chce się w żaden sposób z tem zdradzić. Posiada tedy trzydzieści peruk, z których każda ma nieco dłuższe włosy od drugiej i zmienia je codziennie, tak, iż możnaby przypuścić, że mu włosy rosną. W końcu każdego miesiąca mówi mimochodem znajomym swoim, iż ma za długie włosy i musi je dać obciąć i następnego dnia ukazuje się znów w peruce n-r 1-szy. Pomysłowy oryginał!

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 3 Апрѣля 1887 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Opis do N-ru 16.

N. 1. Ubranie z krótkim paletocikiem. Krój podług ryc. 39 i 40 w N-rze 47 z roku 1886.

Paletocik mający 55 cent. długości, z przodu na jeden rząd guzików zapinany, odrobiony z cienkiego czarnego szewiotu, objęty był z brzegów pletnią jedwabną. Baskinę pleców mającą 63 cent, szerokości, składa się w dwie poczwórne kontrafałdy, na które zachodzą przypięte guzikiem wystające brzegi boczków. Rękawy przy szwie zwierzchnim są na 6 cent. nie zeszyte i ozdobione guziczkami pokrytemi szewiotem. Kołnierz stojący 5 c. wysoki. W kapturek i pod paletocik dana podszewka z atłasu czarnego w cienką białą kratkę.

N. 2. Ubranie z mantylką z pelerynowemi rękawami.

Model okrycia z przyciskającemi ręce pelerynowemi rękawami, odrobiony był z kremowego w brązową kratę *Himalaya* z długim włosem, z podszewką z jasno brązowego atłasu. Długość okrycia wynosiła 57 cent. a części obcisłe rękawowe miały 45 cent. długości, 16 dolnej a 6 cent. górnej szerokości. W plecy wstawiona część fałdowana z atłasu, tworząca u dołu 10 cent. długą, luźno puszczoną baskinę. Obłożenie 8 cent., kołnierz wykładany 6 cent. szeroki.

N. 3. Wachlarz powozowy w kształcie palety.

Najświeższą modną, wiosenną fantazyę, stanowią do powozu przeznaczone wachlarze w kształcie palety, mające 31 cent. długości, a 23 c. szerokości, które łatwo zrobić sobie można. Model do ryc. 3 zrobiony był z danej podwójnie ciemno brązowej krepy, pomiędzy którą w miejsce służące do ujęcia palety, wsunięta była tektura pokryta brązową materyą. Kształt nadaje przyszyty koło brzegu drut pokryty wązką wstążeczką. Na krepie odmalowany jest maleńki obrazek na gałązce kwiatów. Do zawieszenia na rękę służy wstążka 2 1/2 cent. szeroka.

N. 5. Plastron chusteczkowy z ranwersami.

Ranwersy 32 cent. długie, w górze 6 u dołu 4 cent. szerokie, i tylna część stojącego kołnierza, zrobione były ze wstążki łososiowego koloru 8 cent. szerokiej, repsowej z brzeżkiem w pikoty z cieniutkiego jedwabnego sznureczka. Wywinięte brzegi kołnierza i brzegi poprzeczne u góry i u dołu ranwersów, trzeba ozdobić pikotami. Plastron środkowy jest z krepy białej jedwabnej, w drobne prążki, ułożonej w głębokie fałdy, zamocowane od spodu. Przednia część kołnierza nieznacznie zapiętego z boku, jest także z krepy.

N. 6 Żabot chusteczkowy ze szlakami z perełek.

Do żabota trzeba dwóch kawałków szlaków czarnych perełkowych, 56 cent. długich a 4 cent. szerokich, które na 16 1/2 cent. od górnych brzegów zaszyte są w szpiczastą fałdę na kołnierz, a na 9 cent. od dołu w takąż fałdę na wcięcie w pasie; tak zaszycia jak i dolne brzegi szlaków, złączone są ze spodu listewkami, mającemi przy wykroju kołnierza 7 1/2, na wcięciu w pasie 3, a u dołu 8 1/2 c. długości. Te patki stanowią zarazem podstawę i nadają fason żabotowi zmarszczonemu, z kawałka białej jedwabnej gazy, 39 c. długiemu a 42 szerokiemu. Kokarda z 5 c. szerokiej czarnej repsowej wstążki, której mają 13 i 14 c. a końce 20 i 14 c. długości, ozdobiona jest czarną metalową klamrą i przypięta do wstążki zaszytej w ząb.

N. 7. Powłoczka ozdobiona haftem i kratką ażurową.

Model powłoczki odrobionej z cienkiego płótna, ozdobiony był na zwierzchniej stronie 9 1/2 cent. szerokim szlakiem złożonym z haftu płaskiego i kratki ażurowej. Z czterech stron nad obrębem z kratką 1/3 cent. szeroką w odstępie 1 cent., dane proste zęby z kratki ażurowej, 8 cent. wysokie a 3 cent. szerokie w których haftowane są ściegiem płaskim kwiatki do których deseń dany był na ryc. 26 w N-rze 11 Tyg. mód. Na środku wyhaftowany monogram.

N. 8. Kołdra pikowana oszyta grubym sznurem.

Model kołdry mającej 220 cent. długości a 117 szerokości, odrobiony był z prawdziwego niebieskiego atłasu na watowanej podszewce z niebieskiej satynki. Tło środkowe pikowane jest w duże podwójnie odznaczone kwadraty, a szlak 37 cent. szeroki składa się z prostych pasów i zębów. Brzegi oszyte sznurem grubym jedwabnym.

N. 9. Powłoczka na pierzynkę, ozdobiona kratkami.

Zwierzchnia strona płóciennej powłoczki, zapinanej od spodu na guziki ma brzegi zakończone obrębem 4 cent. szerokim, przyszytym kratką 1 cent. szeroką. W odstępie 5 cent. nad obrębem, dane szlaki 13 cent. szerokie, złożone z pasków kratek ażurowych 1 i 1 1/2 cent. szerokich. Na środku wyhaftowany duży monogram.

N. 10—11. Taśmy do wiązania bielizny.

Do wstążek lub tasiemek wełnianych, ozdobionych wyszyciem dla prędszego wskazania i odznaczenia rodzajów ułożonej w szafie bielizny, dodane są z boku pasy z wyszytą nazwą bielizny, np. ręczniki, obrusy i t. p. wyszyte ściegiem pojedyńczym na taśmie kolorowej kanwowej, 3 cent. szerokiej a 45 cent. długiej, zaszytej z brzegów poprzecznych na uszy do przewleczenia wstążek do wiązania.



N. 1. Ubranie z krótkim paletocikiem. N. 2. Ubranie z okryciem pelerynowem.

N. 12—14. Powłoczki na poduszki kliniaste. Model kroju ryc. 14.

Dla ochrony materyą jedwabną lub innym kolorowym materyałem pokrytych kliniastych poduszek, daje się powłoczki z płótna, dymki deseniowej lub szyrtyngu, złożone z dwóch części, których model kroju i miary, podajemy na ryc. 14; miara jednak ulega zmianie, stosownie do wielkości poduszki. Część *a* na ryc. 14 podana w połowie, składa się w ten sposób, ażeby zwierzchnia połowa była dłuższa od spodniej o wysokość tylnej ściany klina. Następnie klinik podług *b* przykrojony, wszyć jednym brzegiem od gwiazdki do kropki, drugim od kropki do krzyżyka. Górne brzegi powleczenia zakończone są obrębem 2 cent. szerokim, w którym obrobić trzeba dziurki do sznurowania na plecionkę lub wstążeczkę kolorową.

N. 15. Powłoczka ozdobiona robotą szydełkową i haftem kolorowym.

Cienka płócienna powłoczka na zwierzchniej stronie w górnym brzegu, ozdobiona była wstawką 17 cent. szeroką, składającą się ze wstawek szydełkowych 1 1/2 i 2 1/2 cent. szerokich, przedzielanych taśmą kanwową 2 1/2 cent. szeroką, wyszytą ściegiem pojedyńczym lub krzyżowym, bawełną niebieską i pąsową. Wstawkę wszywa się pomiędzy obręby 2 cent. szerokie przyszyte wązką kratką, wiązaną bawełną niebieską; guziki i dziurki do zapinania dane są w takich samych obrębach.

N. 16, 22 i 23. Serweta na środek nakrytego stołu, ozdobiona haftem płaskim i kratkami ażurowemi.

Serweta z grubego płótna domowej roboty, ozdobiona była, szeroką kratką ażurową robioną w skośnie mijające się kwadraty bawełną pąsową i białą; na ryc. 22 dajemy w naturalnej wielkości próbkę jednej kraty. Ryc. 23 przedstawia także w naturalnej wielkości część szlaku haftowanego ściegiem płaskim, bawełną pąsową. Nad kratką w górze dany rzucik z małych, pojedyńczych listków, widocznych na ryc. 23, a ułożonych podług r. 16. Wązkie obrąbki odwinięte na prawą stronę przy szlaku i z brzegu serwety przyszyte są kratką. Dolny brzeg oszyty koronką niciąną 9 cent. szeroką, wywodzoną bawełną pąsową. Szlak taki służyć może do ręczników płóciennych.

N. 17. Stanik z materyału tkanego na ręcznym tkackim warsztaciku.

Stanik z materyału tkackiego, z włóczki czerwonawo brązowej zdobił kołnierz stojący i plastron fałdowany z atłasu brązowego.

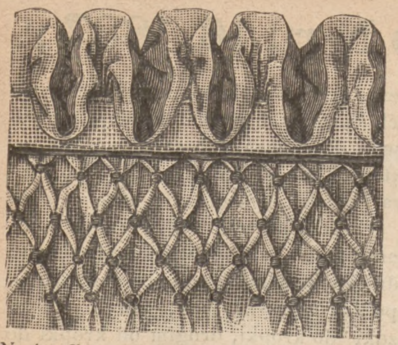
N. 18. Stanik aksamitny sznurowany.

Przy staniku z bardzo krótką baskiną, plastron pod sznurowanie, mankiety i podszewka pod wysoki odstający kołnierz, dane były z materyi jedwabnej. Szmizetka może być dana z muślinu indyjskiego, gazy lub z koronki.

N. 26. Fartuszek dla dzieci lat 2—4.

Fartuszek 46 cent. długi a 107 cent. szeroki, ozdobiony u dołu zakładkami, robi się z jednego kawałka batystu, w górze z boków przecina się rozporki 14 cent. długie, które obrąbione i dopełnione ramiączkiem 3 cent. szerokiem, oszytem koronką, stanowią otwory do wyjęcia rąk. Brzeg górny podszywa się listewką i oszywa koroneczką; w listewkę nawłóczy się wązką kolorową wstążeczkę do ściągania i zawiązania fartuszka. Z przodu na wcięciu w pasie przymarszcza się fartuszek i naszywa z wierzchu wstawkę niciąną 3 cent. szeroką, pod którą podwłóczy się wstążkę do wiązania z tyłu.

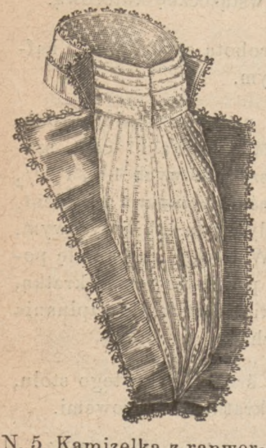
N. 27. Koszyczek napełniony wielkanocnemi jajkami z cukru i czekolady, ozdobiony gałązką kwiatów i gołąbkiem wypchanym lub cukrowym.



N. 4. Przeszycie zmarszczek (smock) do fartuszka lub t. p.



N. 3. Wachlarz w kształcie palety.



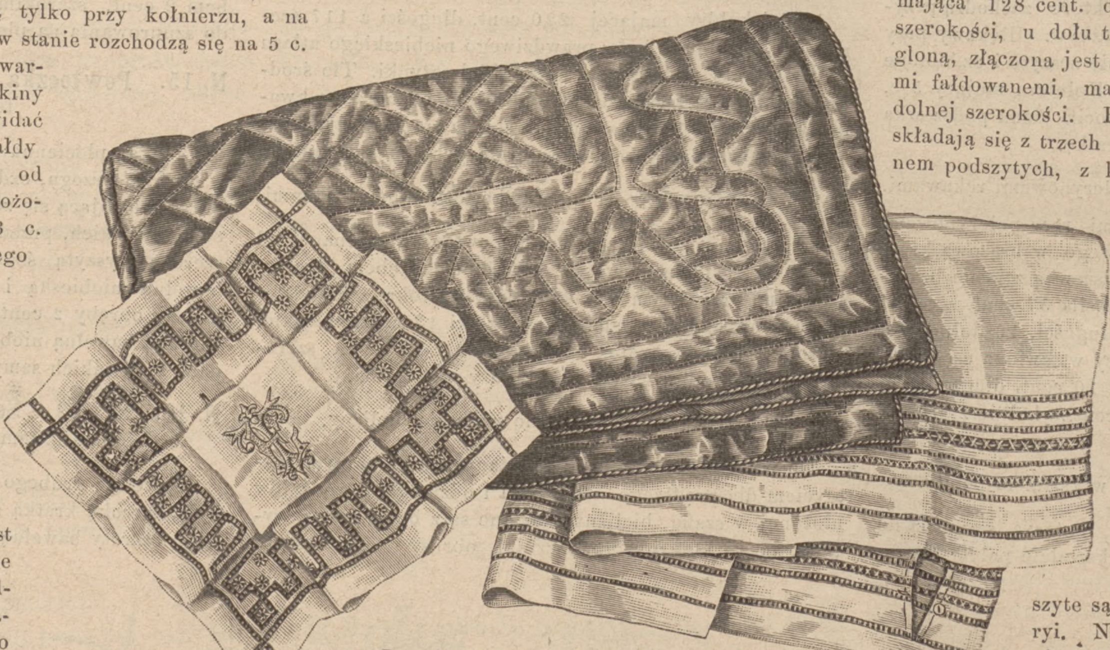
N. 5. Kamizelka z ranwersami.



N. 6. Żabot kamizelkowy z torsadą z perełek.

N. 29. Ubranie spacerowe z paletocikiem wciętym do figury. Krój podług formy do ryc. 1 w N. 44 z r. 1886.

Fason kamizelki tem się różni od wyżej wzmiankowanej formy iż nie jest wszyta pomiędzy szwy boczne, lecz przy pierwszej zaszewce paletocika. Przody trochę krócej przykrojone, wywinięte na ranwersy, w górze 6 cent. szerokie, zapięte są tylko przy kołnierzu, a na wcięciu w stanie rozchodzą się na 5 c. z pod otwartej baskiny pleców widać kontrafałdy dodane od spodu, ułożone z 63 c. szerokiego kawałka półjedwabnej materyi w drobną kratkę czarną i białą, z której zrobiona jest także kamizelka zapinana na płaskie guziczki z konchy perłowej, i dana podszewka pod cały paletocik. Ten ostatni odrobiony był z czarnego, drobno kiprowanego materyału i oszyty pletnią jedwabną, dwa cent. szeroką. Mankiety rękawów, kołnierz stojący i ranwersy są z czarnego jedwabnego ottomanu. Bogate ozdoby z pasmanteryi nie są konieczne. Parasolik z rękojeścią pokrytą pluszem, zdobią kokardy ze wstążki w dwóch kolorach.



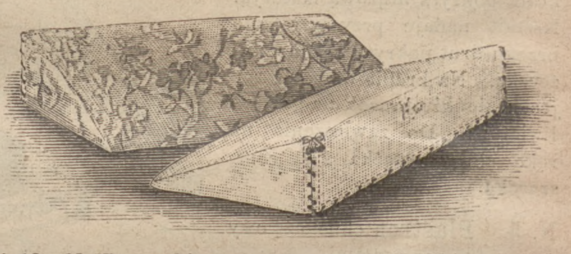
N 7. Poszewka haftowana. N. 8. Kold. pik. oszyta sznurem. N. 9. Powłoczka na pierzynkę.



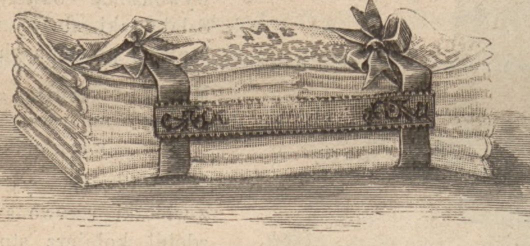
N. 10. Taśma do wiązania bielizny.



N. 16. Serweta z haftem płaskim i kratką ażurową. Patrz ryc. 22 i 23.



N. 12—13. Poszewki sznurowane na kliniastą poduszkę. Patrz ryc. 14.



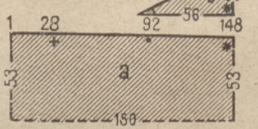
N. 11. Bielizna prana związana taśmą z napisem.

N. 30 i 31. Płaszczyk ozdobiony krawatką i szarfą. Krój podług ryc. 22 w N-rze 46 Tyg. mód z r. 1886.

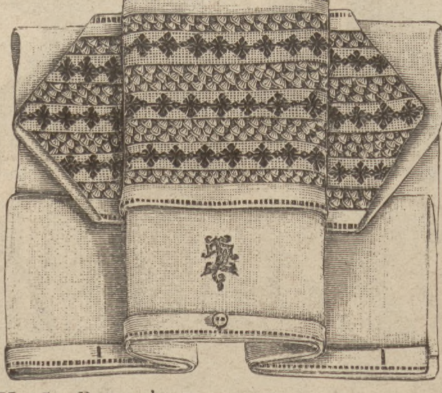
Model płaszczyka ryc. 30 odrobiony był z gładkiego, a do ryc. 31 z czarnego wełnianego materyału w pasy. Bardzo ładne przyozdobienie stanowi krawatka i szarfa z podwójnie złożonego, czarnego jedwabnego repsu. Na krawatkę potrzeba dwóch podwójnych kawałków 9 cent. szerokich a 118 długich, których końce szpiczasto ścięte i kulkami perełkowemi zakończone, przewiązane są z tyłu i z przodu. Odpowiednio zakończone szarfy, mają 12 cent. szerokości. Pasy naszyte na plecach, kołnierz i mankiety są także z materyi.

N. 32 i 33. Suknia z draperyą fartuszkową.

Suknia z jasno poziomkowej materyi ottoman i z mory takiegoż koloru w białe pekinowe pasy, stanik z krótką baskiną z rękawami, plastronem i kołnierzem morowym, wyszyty był perełkami szmelcowanemi, miedzianego koloru, a u dołu oszyty takąż frendzlą $1\frac{1}{2}$ cent. szeroką. Głęboko wycięty plastron, dopełnia bufiasta szmizetka z białej surah. Tylna draperya z przednią trochę skośnie sfałdowaną mająca 128 cent. długości a 112 szerokości, u dołu trochę zaokrągloną, złączona jest z boków pasami fałdowanemi, mającemi 32 c. dolnej szerokości. Przednie bryty składają się z trzech części muślinem podszytych, z których środkowa 36 cent. szeroka jest z mory w pasy a boczne z ottomanu z brzegów bocznych podszyte są 15 cent. szeroką listwą z materyi. Na tylną draperyę potrzeba 3 brytów 122 cent. długich z których środkowy jest z mory. Bryty te w górze w środku są w trzy pukle 14 i 28 cent. długie złożone, z boków sfałdowane i w pasek wszyte, a z bocznych brzegów podpięte w dwa pukle, w sposób wskazany na ryc. 32, dalej lekkie bufy draperyi przyczepia się nieznacznie do spódnicy oszytej u dołu 15 c. szerokiem plisowaniem.



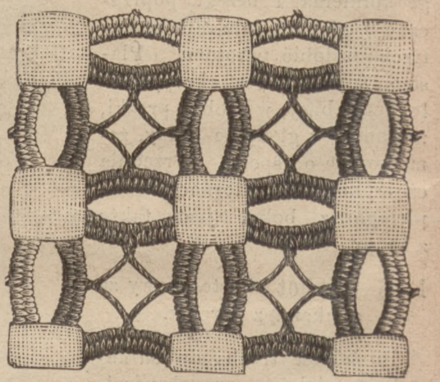
N. 14. Wymiar kroju kliniastej poszewki do ryc. 12—13.



N. 15. Poszewka z wszywką szydełkową i haftem kolorowym.

N. 34—35. Suknia z długą draperyą. Patrz r. 20 w N-rze 16.

Model odrobiony był z granatowej materyi faille i złotawo żółtego aksamitu frisé w deseń pąsowy z niebieskim. Stanik miał przody zakończone paskiem w środku 9, z boków 4 c. szerokiem; baskina pleców w środku nie zszyta na 10 cent.



N. 22. Kratka ażurowa do ryc 16.



N. 17. Stanik z materyału tkanego ręcznie.



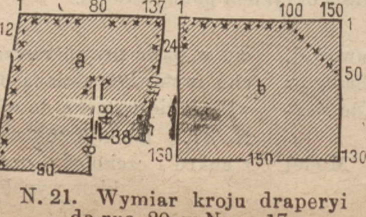
N. 18. Stanik aksamitny.



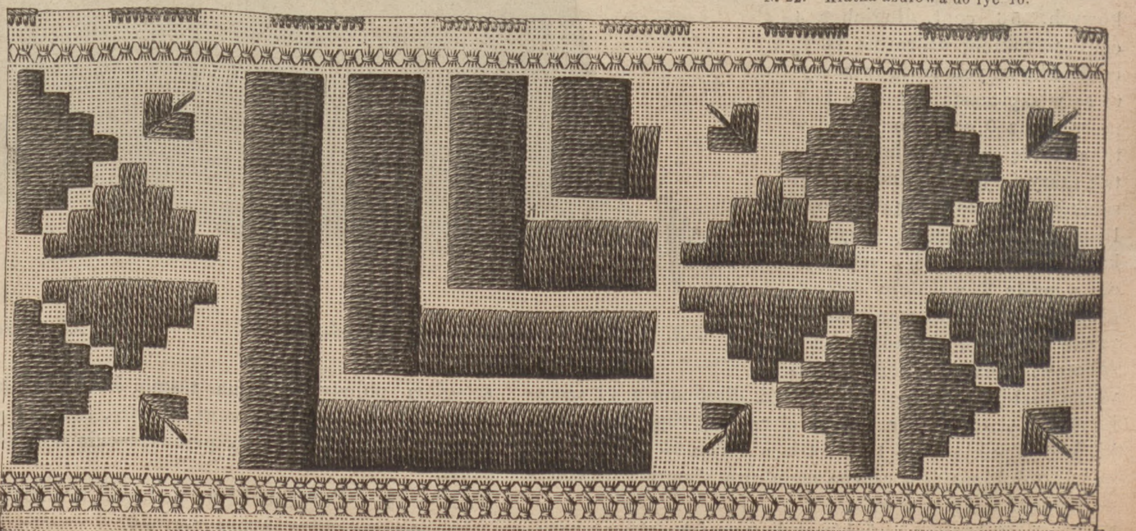
N. 19. Plecy do ryc. 24 w N. 17.



N. 20. Wymiar kroju draperyi przedniej do ryc. 34.



N. 21. Wymiar kroju draperyi do ryc. 20 w N-rze 17.



N. 23. Haft płaski kolorowy do ryc. 16.

wzdłuż, spada na aksamitne karoczko, 50 centymetrów szerokie, złożone w kontrafałdy; rękawy gładkie. Spódnica podszewkowa o ile widoczna z pod przedniego i bocznych brytów, pokryta jest aksamitem. Rycina 20 w N. 16 daje wymiar draperyi przedniej, które dwie połowy, przedniemi gładkiemi brzegami rozchodzą się stopniowo do dołu na 15 cent. szerokości. Górny brzeg sfałdowany podług znaków wszywa się w pasek; od 95 zostaje gładki i schodzi się na środku z tyłu; brzegi boczne sciśle sfałdowane do przecięcia, łączą się pod tylną draperyą zapięte na haftki; dolny brzeg przecięcia fałduje się sciśle i przyszywa do sukni. Upięcie tylne widoczne na r. 35, wymaga czterech brytów, po 58 c. szerokich, z których trzy są po 120 c., a jeden ze środkowych 150 c. długi. Trzy krótkie sfałdowane bryty wszywają się w pasek, zaś bryt najdłuższy wystający o 30 c., fałduje się w górze do 6 c. przypina się z tyłu na środku sukni i tworzy rodzaj pukla.

Opis do N-ru 17.

N. 1 i 11. Ząbki szydełk. do ozdoby półek w kredensie.

W dzisiejszym N-rze wskazujemy kilka deseni krzyżykowych podług których można odrabiać deseń w robocie szydełkowej; każdy rząd deseniu wymaga dwóch rzędów szydełkowych; na ryc. 11 dającej deseń do ryc. 1 krzyżyki oznaczają deseń matowy na miejscu 1 krzyżyka robi się po 7 sł. w jednym i drugim rzędzie szydełkowym. Krateczka oznacza tło ażurowe; na każdą kratkę tła robić w jednym rzędzie 1 sł. i 5 o. pow., w drugim zaś rzędzie 1 sł. nad słupkiem poprzedniego rzędu, 3 o. pow. 1 o. śc. w trzecie z pięciu o. pow. poprzedniego rzędu i 3 o. pow. Na każdym końcu rzędów przy odwracaniu roboty robić 3 o. pow. zamiast pierwszego słupka. Koronka odrobiona z deseniu ryc. 11 liczy 8 cent. szerokości.

N. 7. Serwetka szydełkowa.

Odrabia się w taki sposób jaki opisaliśmy przy ryc. 1, z tą tylko różnicą, że każdy krzyżyk deseniu zastępuje dwa razy po 6 sł., ryc. 7 może właśnie służyć jako deseń do serwetki. Tło liczy w kwadrat 20 krzyżyków a odrobione z grubej brązowej bawełny na kłębuszkach liczy 26 cent. w kwadrat, koronka brzeżna jest 18 cent. szeroka. Robiąc ją zaczyna się od pierwszego bocznego zęba nie zwracając uwagi na narożnik, doszedłszy do następnego rogu trzeba zrobić cały narożnik a drugi bok koronki zacząć z boku narożnika; czwarta strona zakończa się narożnikiem i spaja z pierwszym zębem koronki. Tło z koronką łączy wstążka $4\frac{1}{2}$ cent. szeroka.



N 24. Deseń na aplikacyę do ryc. 42 w N rze 17.

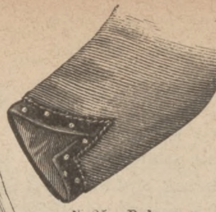
N. 8—9 i ryc. 3, 4 i 6. Fartuszek z koronką szydełkową.

Rycina 9 przedstawia fartuszek 55 cent. szeroki, 60 długi, uszyty z chustki w kratę niebieską z pąsowym,

u dołu zakończony 10 cent. szerokim pasem z pąsowego szwajcarskiego perkalu, nad którym dane wyszycie w gwiazdki (patrz ryc. 4) bawełną pąsową i niebieską. Koronka szydełkowa odrabia się w deseń wskazany na ryc. 8; poniżej gwiazdek można dać ząbki podług ryc. 6. Inny wzór daliśmy na ryc. 3; tu wszywka z piaskowej bawełny ma dodany rzucik pąsowy, biały i niebieski. Górny brzeg fartuszka zaobrąbiony na 4 cent. i sfałdowany do 32 cent.; sznur w kolorach wyszycia zakończony kwastami, zastępuje końce do wiązania.



N. 26. Fartuszek dla dziecka lat 2—4.



N. 25. Rękaw do suk. r. 35 w N. 17.



N. 27. Koszyczek z jajkami.



N. 29. Płaszczyk z krawatką i szarfą.

N. 10 i 2. Fartuszek ze szlakiem szydełkowym i kokardą. Patrz ryc. 4 w N 16.

Uszyty z brązowej kanwy de congrés, liczy 70 cent. szerokości a 54 długości, w górze jest 5 cent. szeroko obrąbiony niżej zaś pięć razy przemarszczony do 25 c. szerokości; brzegi boczne i dolne są wązko obrąbione. Koronka szydełkowa 11 cent. szeroka odrabia się z brązowej bawełny podług des. r. 2 (sposób roboty patrz ryc. 1, narożnika ryc. 7); wszywka liczy 12 cent.; obie ozdobione są brzeżkiem i muszkami kolorowemi. Końce do wiązania i kokarda z wstążki atłasowej 3 cent. szerokiej, pąsowej i niebieskiej. Na ryc. 4 w N-rze 16 uczymy (w zmniejszeniu o połowę) w jaki sposób zamiast zwykłego marszczenia, przeszywać kolorową bawełną fałdki 1 cent. głębokie, górny zaś brzeg można podszyć kolorową listewką i wywijać fałdki w riuszę.



N. 28. Koszyczek z jajka.

N. 13—15. Poszewka z wszywką i plisowaniem.

69 cent. szeroka a 72 cent. długa poszewka oszyta jest w około plisowaniem 10 cent. szerokiem; wszywka zdobiąca zwierzchnią stronę poszewki odrabia się szydełkiem podług ryc. 13 lub 14, aby nie zaszywać jej w narożnikach, robi się w ten sposób jak koronkę ryc. 7.

N. 16—18 i 12. Poszewka z wszywką z literami.

Na górnem złożeniu poszewki wszyta jest wszywka szydełkowa z oryginalnie wyrobionemi literami; r. 12 daje w naturalnej wielk. część wszywki z literą a r. 17-18 dają des. wszyw. z odmiennem zakończeniem i rozetką środkową.



N. 30—31. Płaszczyk z krawatką i szarfą

N. 19 i 27. Suknia z vêtement.

Oryginalne było zestawienie kolorów w modelu do r. 19 i 27 gdyż do spódnicy z piaskowego kaszmiru, dane vêtement koloru ciemnego zielonawo niebieskiego, z dyagonalu w grube prążki, przybrane piaskowym pluszem lub aksamitem. Spódnicę zdobią wąziutkie zakładki nad obrębem $4\frac{1}{2}$ c. szerokiem. Vêtement dopasowywa się podług dobrej formy stanika; przody kamizelkowe w górze zapięte na guziki, u dołu pod schodzącemi się końcami szalowego kołnierza zasznurowane, sięgają tylko do pierwszych zaszewek. Dolna połowa vêtement przyszyta szwem odwracanym do brzegu stanika, wymaga trzech brytów, po 105 c. szerokich, zszytych z sobą, z których dwa boczne liczą po 96 c., tylny środkowy 135 c. długości. Boczne bryty ścięte w górze skośnie na 7 c marszczą się drobno, rozsuwając z przodu fałdy płasko a na biodrach i do tyłu zbierając je ściślej, tylny bryt ma brzeg górny i wystające brzegi boczne złożone w cztery pukle 17 i 20 c. długie; podpięcie w środku tylnego bryta i na szwach bocznych daje się za pomocą tasiemek przyszytych od spodu. Brzegi przednie i dolny brzeg vêtm. podszyte listwą kaszm. 10 c. szer., mankiety 10 c. sz., kołn. szal. w śr. 13, w k. 3 c. szer.

(D. n.)



N. 32—33. Suknia z fartuszkową draperyą. N. 34—35. Suknia z długą draperyą. Patrz ryc. 20 w N-rze 16.